

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

WRÓBEL.

Gdy ptaki wędrowne w dniach wczesnej jesieni
W południa kwieciste mkną kraje,
Gdy ziemia utraci sukienkę zieleni,
Przez długie dni zimy i chmurnej jesieni
On jeden sam wierny zostaje.

On jeden zostaje, wróbelek nasz szary,
Gdy śpiewne ulecą ptaszyny,
Swej ziemi rodzinnej dochowa on wiary,
Nie nęca go obce uroki i czary,
Nie wabią słoneczne krainy.

Przez zimę, przez długą, on tęskni za wiosną,
Gdy zimno i głód go przenika
I wierzy, że wkrótce znów kwiaty wyrosną,
Że ziemia oblecze sukienkę radosną,
Że śpiewna rozdzwieczy muzyka.

O, przyjdzie znów wiosna, o błysną znów kwiaty,
Powróci rój ptasząt wędrownych,
Lecz wyżej nad śpiewny ten orszak skrzydlaty
Wy ceńcie wróbelka, choć skromne ma szaty,
Choć piosnek nie nuci czarownych.

Bo stokroć wart więcej, kto wierny swej ziemi
Zarówno w pogodę jak w burzę,
Niż ten co ucieka przed wichry groźnymi,
A wraca gdy słońce w rodzinnej lśni ziemi,
Gdy kwitną znów fiołki i róże.



Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy.)

Westchnął na to przypomnienie i posmutniał, ale potem jakaś myśl weselsza przebiegła mu przez głowę, pochwycił kajet rysunkowy i zaczął w nim coś kreślić z zajęciem. Ani się spostrzegł, jak mu zeszło ze dwie godziny na tem zajęciu; wreszcie gdy spojrzał na zegar i zobaczył, że już jest po wpół do trzeciej, schował kajet do szuflady.

Dość wczesnie powrócił pan Kaliński.

— Cóż, bardzo się znudziłeś? — zapytał.

— Nie, nie — zapewniał Jaś — może pan i po południu pójdzie na przechadzkę?

— Nie mam zamiaru — odrzekł pan Kaliński. Obiad zjemy przed domem w cieniu drzew i już tak przesiedzimy do wieczora; ale jutro zrana znowu pójde na polankę; dziś robota moja postąpiła znacznie.

Nazajutrz, gdy pan Kaliński wyszedł, Jasio znowu rysował zawzięcie, kryjąc czempredzej swój kajet, skoro tylko usłyszał kroki powracającego swego opiekuna.

Po kilku dniach chłopczyk mógł już chodzić w wygodnym pantoflu, lecz na dalszą przechadzkę nie mógł się jeszcze odważyć. Za to rysował i poprawiał ciągle w swoim kajecie.

Nakoniec pewnego dnia, gdy pana Kalińskiego nie było w domu, Jaś wyjął ze stolika starannie dotąd ukrywaną kartę drystolu i wszedłszy po krzesło i stół; przytwierdził ją małymi gwoździkami ponad łóżkiem pana Kalińskiego. Potem usiadł z książką w ręku na ławce przed domem, oczekując na powrot swego opiekuna.

Pan Kaliński przyszedł tego dnia później niż zwykle i czuł się bardzo zmęczonym. Nie wchodził więc już wcale do mieszkania, tylko kazał

copradziej podawać obiad. Po obiedzie siedzieli wciąż pod drzewami, tak że już zmrok prawie zapadał, gdy weszli do chaty.

Pomimo zmroku jednak duży, białawy karton odznaczał się wyraźnie ponad łóżkiem pana Kalińskiego, to też wzrok jego odrazu zatrzymał się na tym punkcie.

— Co to jest — zapytał — ja tego wcale tam nie widziałem.

Jaś milczał.

Pan Kaliński zapalił świecę i zbliżył się do łóżka. Karton wyobrażał dość wiernie polankę, brzeg strumienia i omdlałą postać leżącego wśród trawy chłopca, ponad którym pochylał się strwożony pan Kaliński. Twarzy chłopca nie było widać, ale podobieństwo rysów twarzy pana Kalińskiego było wcale niezłe uchwycone.

— Widzę, że ty to narysowałeś ten obraz, mój Jasiu — rzekł pan Kaliński.

— Tak, proszę — szepnął Jaś, zarumieniwszy się po same uszy.

— Cie masz się czego wstydzic — ciągnął dalej pan Kaliński — powiem ci szczerze, że chociaż w twojej pracy są jeszcze duże błędy, ale zrobiła mi ona wielką przyjemność. Jest on dowodem, że umiesz samodzielnie myśleć i pracować.

Jaś za całą odpowiedź uściśkał serdecznie pana Kalińskiego.

* * *

XXIII.

— Wkrótce wyjedziemy stąd — rzekł pan Kaliński do Jasia, widząc, że chłopczyk na skaleczoną nogę już nie narzeka.

— Ech! szkoda — odparł Jaś — tak tu ładnie i nie tak gorąco, jak w mieście.

— Nie przeczę, mnie samemu czas bardzo przyjemnie tu schodzi i dużo pracować mogę, ale muszę wracać do Tryestu, powołują mnie tam bardzo ważne sprawy.

Pan Kaliński zamilkł, lecz widząc smutek na twarzy Jasia, dodał po chwili:

— No, nie martw się, zejdziesz nam tu jeszcze z tydzień czasu w górach.

Jaś aż podskoczył z radości, gdyż zupełna swoboda wjeżdża i piękne okolice, podobały mu się niezmiernie.

Pan Kaliński jeszcze tego samego dnia napisał do kapitana do Marsylii z zapytaniem, jak prędko będzie w Tryeście, gdyż chciał się zastanowić do jego tam przyjazdu? W liście podał dokładny adres najbliższej stacji pocztowej, prosząc, aby kapitan odpowiedział jak najprędzej.

Pan Kaliński, wciąż jeszcze zajęty wykonaniem swego obrazu, wybierał się pospiesznie na polankę. Jaś tymczasem wybiegł na dziedzi-

niec, a po chwili wpadł zdyszany i zaczerwieniony do mieszkania.

— Proszę pana! — zawołał — czy ja mogę pójść z synem naszego gospodarza łowić ryby w strumieniu?

— A daleko, mój Jasiu? Boję się, żebyś nie wpadł do wody, nieraz bywasz taki roztrągniony...

— Niech mi pan pozwoli iść, mój złoty panie — prosił Jasio — już ja będę uważał, nie będę się przecież zanadto nachylał nad wodą.

— A czy nikt ze starszych nie idzie z wami? — zapytał pan Kaliński — samemu z drugim tylko chłopcem iść ci nie pozwolę. Dowiedz się, kto więcej idzie.

— Jaś spełnił polecenie opiekuna.

— Idzie i gospodarz także! — zawołał, wracając po chwili. Mówi, że zmuszony jest napłacać ryb na wieczerkę.

— No, w takim razie to ci iść pozwalam — rzekł pan Kaliński.

Korzystając z tego pozwolenia, Jasio czempredziej wybiegł na dziedziniec.

Ucieszony, z wędką w rękę, podążył za swymi przewodnikami. W pół godziny znaleźli się nad brzegiem strumienia.

Wieśniak wybrał na połów miejsce ocienione drzewami, aby promienie słońca nie dokuczały im podczas zajęcia. Strumień tworzył w tem miejscu jakby małą zatokę, gdzie woda nie płynęła tak bystro. W pośrodku tego zagłębienia sterczało kilka kamieni, porośniętych mchem i osłizgłych od wilgoci.

Jaś zasiadł nad brzegiem i z powagą zarzucał wędkę w wodę. Przypatrywał się uważnie czy wędka, zaopatrzona w robaka, nie drga?.. Ale ryby nie chciały jakoś chwycić... Jaś się niecierpliwił.

— Nie wiedzie nam się dziś — mruknął wieśniak. — Poczekaście, wejdę ja tam, na te kamienie, niby na wyspę i ztamtąd zarzucę wędkę.

W istocie kamienie wychylały się z wody tak blisko brzegu, że można było z łatwością dostać się na nie.

— To i ja tam wejdę — rzekł Jasio.

— O! nie, nie można — odparł wieśniak — w butach nie możnaby się utrzymać na tych kamieniach, tam bardzo ślizko.

— Wielka rzecz, to zdejmę buciki! — zawołał Jasio.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dzieci, Zuchelek i Wilczysko.

Niedaleko Serocka nad Bugiem, w jednym starym boru, co tam rosły tylko sosny, jodły, świerki — mieszkał przed laty leśnik, nazwiskiem Oglon. Żonę jego nazywali ludzie Oglonicha, syna, który miał lat osiem — Oglonek, a sześciolatnią córeczkę zwali Oglonka. Miała tam zaś ta rodzina przy chacie pieska małego i kudłatego, Zuchelka. Bardzo mądre, dobre stworzenie był ów piesek. Nieraz Oglon położył palec na nosie i powiada:

— Zuchelek, leżeć!

To psina natychmiast położył głowę na przednich łapach, przywarował i tak już leżał dopóty, dopóki mu pan wstać nie pozwolił. Pyszczek miał mały i tak kudłami obrośły, że nawet uszu nie było widać, tylko się para małych oczek żywo świeciła na głowie pieska. Siwe, jakieś żółtawe miał na sobie te kudły.

Zuchelek ogromnie kochał Oglonka i Oglonkę, a dzieci go też bardzo kochały, pieściły i zawsze się z nim bawiły.

Nieraz wieczorem piesek strasznie żałośnie wyl przed chatą, przysiadł na tyle, podnosił głowę w górę i wyl, wyl, aż się echem w boru rozlegało.

— Matulu — zapytywały dzieci, — dlaczego Zuchelek tak wyje, że aż ciarki przechodzą człowieka?

— Któż może wiedzieć, dlaczego pies wyje? Zdjęła go w boru taka tęsknota chyba, albo też i wilka gdzie niedaleczko poczuł...

Nadchodzi Oglon i woła:

— Cicho, Zuchelek!

A pies merda swoim kosmatym ogonkiem, zaraz się łąsi do pana i przestaje wyc natychmiast. Czasem znowu Zuchelka jakaś złość porывa i wtedy przed chatą drapał pazurami pod sobą ziemię, podnosił do góry ogon, szczekał, warczał czegoś.

Bywało, podczas nocy piesek nagle zawył strasznym głosem, aż się dzieci ocknęły ze snu i wielki strach poczuły w sobie; ale żadne z nich słówka nie pisało, żeby rodziców nie obudzić, dopiero rano precz była mowa o tem, że Zuchelek straszliwie wyl w nocy.

Na zimę Oglon grubo ogacał wokoło całą chałupę mchem i gałęziami, aby wiatr nie przewiewał przez ściany i żeby było ciepło. Ta chata zupełnie tak wylądała wtedy, jak wielka kupa mchu, szyszek, igieł sosnowych. W owem ogaceniu urobił sobie Zuchelek jakby gniazdo, zagrzebywał się tam i sypiał.

Ale po boru włóczyły się wilki, a Oglon nieraz rano ze śladów na śniegu widział, że te bestje przychodziły pod chałupę.

— Co to znaczy — mówił do siebie leśnik, — że wilki Zuchelka nie pożarły.

Jak się począł dobrze wszystkiemu przyglądać, tak spostrzegł ze znaków na śniegu, że psina po owej kupie mchu wylazi sobie na strzechę chałupy, a potem przez dymnik wchodził na strych przed wilkami. Naturalnie wilki się tam do niego dobrać nie mogły.

O tych wilkach dużo tu mamy powiedzieć. Biada podróżnemu, który w nocy zimową porą straszny bór przebywał.

Kiedy nastaly ciężkie mrozy, bandy wilków wychodziły z lasu, dobierały się do wsi, tam się podkopywały do chlewów i temu owemu gospodarzowi pożarły wieprzka. Wtedy po całej okolicy ludzie o wilkach tylko mówili. Rozzuchwalili się strasznie zwierzęta, łaziły to tu, to tam, robiły ogromne szkody.

Od czasu do czasu chłopci z różnych wsi, uzbrojeni w żelazne widły, w paly, drągi, sztaby żelaza, otaczali bór i oblawać szli na te wilki. W takich razach wychodził także na oblawać Oglon ze swoją strzelbą, z której strzalał nigdy nie zawodził. Jeżeli się tylko wilk nawinał, to go tam już leśnik dobrze wziął na oko i z pewnością nie chybił.

Po oblawie ustawały zwykle wilecze rozboje; ale wkrótce potem znowu się zaczynały pojawiać napaści. Któżby policzył, ile te wilki pożarły krów, koni, owiec, świń, psów, a nawet kur i gęsi! A ile one to rozszarpały ludzi dorosłych i dzieci! Okropność!... Trzeba też wiedzieć, że Oglon codziennie rano znajdował w lesie ślady krwi i sprawdzał, że wilki pożarły bądź jelenia, bądź sarnę, dzika. Co więcej, zapewne z wielkiego głodu, bestje te rozszarpały niekiedy nawet wilka. Szczególniej zaś strasznym był tam jeden wilk, który się ludziom pokazywał często i w lecie czy na jesieni. Zwierzę duże, jak dobry cielak, wpadało nieraz do wsi między ludzkie chaty i porywało tam, co mu pod ząb podpadło.

Tego wilka nazywali wszyscy „Wilczysko“, a Oglon powiadał, że go trzy razy widział w lesie, jak mu się mignął między krzakami.

— Nie jest to wilk zwyczajny — mówił leśnik, jeno zbój straszny z ogromną kądzielą. Wieczorem przeleciał mi drogę; widziałem wybornie jego świecące kagańce; słyszałem, że szczeknął kłaniami. Zdjąłem strzelbę, biore na cel w samą latarnię, a tu Wilczysko zniknęło, jakby się w ziemię zapadł.

Czasem ni ztąd ni zowąd, zjawił się na polu między owcami, porywał pierwszego lepszego barana, dusił go i do lasu unosił. Wówczas strach padał na owce, puszczały się całą gromadą i gwały prosto przed siebie, a psy owczarskie zawrócić ich nie mogły.

Powiadali, że to był wilk jakiś nadzwyczajny, gorszy od innych wilków, bardzo chytry, mądry. Raz podczas kopania kartofli przybiegł na pole, gdzie ludzie pracowali, porwał w zęby małeńkie dziecko, które matka posadziła w brózdzie, i poniosł do boru.

Innym razem w czasie żniw wpadł znowu do jednej wsi, obchodził koleją chłopskie chałupy, a przecz zaglądał do każdej, która stała otworem. Psy z wielkiego strachu kryły się po różnych dziurach, a niektóre wyły przeraźliwie. Wileczysko zaskoczył gdzieś na podwórku jednego kundla i pożarł go tam na miejscu.

Kiedys też tam spotkał pod lasem chłopaka ze dworu, który na szkapie jechał z listem do sąsiedniej wioski. Wileczysko zastąpił mu drogę i odrazu rzucił się koniowi do gardła. Chłopak struchlał i z duszą na ramieniu, ledwie że się wgramolił na wierzchołek świerka. Rzecz prosta, szkapę lichu wzięło.

W jakiś czas potem szło przez las dwóch żydków, takich, co to od wsi do wsi chodzą i handlują skórkami. Wileczysko stanął im na drodze, a kiedy żydzi przerażeni chcieli się cofać, poskoczył i jednego z nich rozszarpał; drugi, trzęsąc się jak w febrze, dopadł do najbliższej wsi, ale z wielkiego przerażenia dostał bzika, czyli oszalał.

Jedna dziewczyna poszła raz z koszyczkiem do boru i zbierała tam grzyby; napotkał ją Wileczysko i pożarł ze szczerem.

Tak się też wszyscy ogromnie wystrzegali tego Wileczyska. Niepodobieństwem było pasanie koni i bydła w nocy na błoniu, czy po miedzach, gdyż ani dla ludzi, ani dla zwierząt nie było żadnego bezpieczeństwa.

Matki, kiedy się oddalały z domu, zostawiając tam dzieci, zamykały drzwi chałupy na kłódkę. Wileczysko przychodził nieraz do takiej zamkniętej chałupy, obchodził ją wkoło, obwąchiwał, nasłuchiwał; powiadali, że czasami chciał się pod próg drzwi podkopać.

Skoro tak było na wsi, zdaleka od boru cóż dopiero w chałupie Oglona, która stała w szczyrim boru.

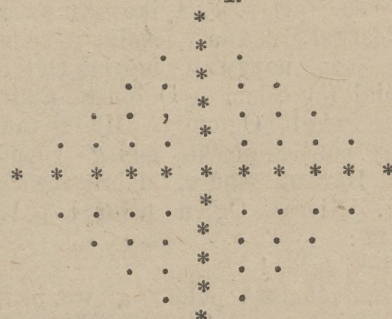
Często często leśnik potrzebował iść z żoną do miasteczka na jarmark, to w takim razie rodzice zamykali Oglonka, Oglonkę i Zuchelka, a w dodatku im zapowiadali:

(Ciąg dalszy nastąpi.)



ŁAMIGŁÓWKI

I.



Punkty i gwiazdki zastąpić literami tak, ażeby środkowe utworzyły nazwisko znakomitego polskiego powieściopisarza.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Spółgłoska.
- 3) Rzeka w Afryce.
- 3) Narzędzie obronne.
- 4) Miasto chińskie.
- 5) Poeta polski.
- 6)
- 7) Miasto w gab. podolskiej
- 8) Wyspa około Ameryki południowej.
- 9) Kraina nad Nilem.
- 10) Wykrzyknik.
- 11) Spółgłoska.



Rozwiązanie łamigłówek z Nr. 6

1. H a n a u
2. M a r a T
3. A i d o s
4. W a r k a
5. N e r o n
6. P r y a m
7. N i o b e
8. H e i n e
9. I b s e n
10. M a j e r
11. B y r o n
12. H e g e l
13. A r e n a
14. G o n t a
15. L u t e r
16. J a z o n

Hannibal. — Tamerlan.

II.

O k o ń.